

JAN MIETELSKI

Andrzej Michał Kobos [AMK] – *Panie Janie, pamiętam z Obserwatorium Astronomicznego sprzed prawie 50 lat, że był Pan czynny w Związku Nauczycielstwa Polskiego.*

Jan Mietelski [JM] – Do „Solidarności” przeszedłem ze Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP), w którym byłem – jeżeli dobrze pamiętam – od 1954, odkąd przyszedłem do Obserwatorium Astronomicznego UJ po studiach magisterskich. Akurat w tych latach studia magisterskie z astronomii można było ukończyć we Wrocławiu u profesora Eugeniusza Rybki, a nie w Krakowie. To był wynik pewnych konfliktów. Kiedy przyszedłem do Obserwatorium, żył jeszcze profesor Tadeusz Banachiewicz, który wkrótce potem zmarł i znalazłem się w Katedrze Astronomii (później Astronomii Teoretycznej) profesora Karola Koziela – człowieka o trudnym stylu bycia. Po prostu chciałem mieć wsparcie, zaplecze organizacyjne w utarczkach z profesorem Kozielą – to był mój główny motyw zapisania się wtedy do ZNP.

Dodam, że Związek popierał mnie m.in., gdy w latach siedemdziesiątych, za profesora Andrzeja Zięby w Obserwatorium, walczyłem o ludzi wyrzucanych stamtąd, co zresztą nie miało żadnego aspektu politycznego. Oficjalnie chodziło mu o „przefasonowanie” Obserwatorium, ale Zięba posługiwał się niegodnymi metodami, np. ośmieszał astronomię krakowską, twierdząc, że jest anachroniczna, XIX-wieczna. Broniliśmy wtedy m.in. Henia Brancewicza, Zbyszka Dworaka i Jurka Kreinera. Związek ich co prawda wówczas wybronił, lecz wkrótce zostali wezwani do Ministerstwa, gdzie ich zapytano: „Czy wiecie, panowie, jak pracuje się na uczelniach, gdzie was nie chcą? Tu jest lista uczelni, do których możecie się przenieść”. I przenieśli się: Brancewicz i Dworak na AGH, zaś Kreiner na Uniwersytet Śląski, a stamtąd później do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. W rewanżu ówczesny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Mieczysław Karaś, chciał mnie wyrzucić z Uniwersytetu, ale Związek Nauczycielstwa Polskiego stanął za mną twardo; byłem wtedy sekretarzem

Rady Zakładowej, więc obejmował mnie „immunitet”. Zresztą byłem wówczas w ZNP Uniwersytetu Jagiellońskiego w niezłym towarzystwie, np. Andrzeja Zolla, Lucjana Suchanka, Zbigniewa Ćwiąkałskiego. Wszyscy wierzyliśmy, że ZNP daje jakieś pole do popisu. Niemniej jednak już wkrótce, ale jeszcze w latach siedemdziesiątych, miałem poczucie bezsilności w ZNP. Na zebraniach pojawiały się partyjne „martwe dusze” i majoryzowały głosowania.

Ze starych dziejów przytoczę jeszcze jedno wspomnienie. Niech posłuży jako tło. We wczesnych latach pięćdziesiątych mój młodszy brat Marek wraz z kolegami założyli w Liceum im. Sobieskiego w Krakowie między-szkolną organizację „kontrewolucyjną”. Pisali kredą różne hasła na parkanach i murach, np. „Precz z czerwonym katem Kremla – Stalinem!”. Po maturze rozeszli się w różne strony. Marek rozpoczął studia muzykologii na Uniwersytecie, a dodatkowo kończył średnią szkołę muzyczną. Wtedy ich nakryli. Wzięli go z domu z początkiem roku akademickiego 1952/53. Pamiętam, że na ich rozprawie przed sądem wojskowym w akcie oskarżenia, widocznie uznając to hasło o Stalinie za zbyt wielkie bluźnierstwo, złagodzono je eufemistycznie na: „Precz z czerwonym dyktatorem Kremla – Stalinem!”. Brat dostał wyrok siedmiu lat więzienia. Po śmierci Stalina, z wiosną 1953, była amnestia i zmniejszono mu wyrok do czterech lat. Siedział na Montelupich, a potem w Jaworznie. Odwiedzałem go na widzeniach w Jaworznie. W zimie pracował na budowie, ręce miał popękane, ciekła z nich krew. Myślałem sobie wtedy: „Czy on kiedykolwiek jeszcze zagra na fortepianie?”. Po połowie kary pozwolono mu wystąpić o złagodzenie wyroku. Przesiedział dwa lata i miesiąc. Oczywiście, potem grał koncertowo, jest emerytowanym profesorem krakowskiej Akademii Muzycznej.

AMK – *Przejdźmy, proszę, do „Solidarności”. W jesieni 1980 powstała „Solidarność” – także na Uniwersytecie Jagiellońskim.*

JM – W sumie nie miałem pretensji do ZNP, ale czekałem na to, jak Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie ustosunkuje się do ruchu wolnych związków zawodowych – do „Solidarności”, która bardzo mi odpowiadała. Takie postawiłem sobie kryterium wobec ZNP. Gdy zorientowałem się, że opinia Związku, wyrażana w mediach, była wyraźnie zależna od PZPR, postanowiłem zerwać z ZNP.

Wtedy zrobiłem krok decydujący, wówczas był to krok natury politycznej. Z opóźnieniem kilku tygodni przeszedłem do „Solidarności”. Od początku byłem w Komisji Rewizyjnej uczelnianej „Solidarności” – i obecnie też pracuję w Komisji Rewizyjnej reaktywowanej „Solidarności”.

AMK – *Co utkwilo Panu w pamięci z okresu pierwszej „Solidarności”?*

JM – Pamiętam niewiele szczegółów, m.in. zebranie Komisji Zakładowej, chyba w sali Rady Wydziału Filologicznego, w dniu zamachu na papieża Jana Pawła II w Rzymie. Ta wiadomość dotarła do nas podczas tego zebrania. Wrażenie było paraliżujące.

Pamiętam także niedzielę wprowadzenia stanu wojennego. Utkwiło mi w pamięci, że ogarnęło mnie wtedy bardzo silne uczucie nienawiści. Poszedłem do Collegium Novum, gdzie mogłem swobodnie wejść, a później na al. Krasińskiego pod zapieczętowaną siedzibę związkową.

AMK – *Rozumiem, że zajmował się Pan kolportażem bibuły konspiracyjnej...*

JM – Tak. I tylko kolportażem. Chodziłem do Instytutu Zoologii przy ul. Karasia (dziś Ingardena), do pani profesor Anny Krzysztofowicz, która miała tam „centralkę” bibuły, i brałem od niej porcję literatury przede wszystkim dla Obserwatorium Astronomicznego, gdzie wówczas pracowało około 30 osób.

Atmosfera, jaka panowała w Instytucie Biologii, była tak pogodna, iż miało się nieomal pewność, że nic takiego się nie dzieje, że wszyscy są uczciwi. Gdy przychodziłem po pakiety bibuły, pani profesor zwykle nawet nie zamykała drzwi od swojego gabinetu.

Kilka lat temu, podczas jakichś wspominek, pani profesor Anna Marchlewska-Koj powiedziała: „Udawaliście konspirację, a my i tak wiedzieliśmy, po co chodzicie do Anki Krzysztofowicz”.

AMK – *Czy był Pan kiedyś w sytuacji bezpośredniego zagrożenia w związku z kolportażem bibuły?*

JM – Jedyną nieprzyjemność, jak spotkała mnie w tamtym okresie, zdarzyła się 5 marca 1984. Była to – jeżeli dobrze pamiętam – pięciogodzinna rewizja w naszym mieszkaniu przy al. Mickiewicza 13. Przyszło czterech, a może pięciu panów z SB. Oprócz mnie była w mieszkaniu moja żona i trzypółletnia wnuczka. Uderzyło mnie to, że gdy weszli, ich dowódca pokazał mi legitymację SB z Rzeszowa – z czego wynikało, że mieli za mało kadry w Krakowie. Pretekstem do rewizji było to, że rzekomo moja żona i ja handlujemy narkotykami. Zaczęli od części ogólnej, czyli beletrystycznej, biblioteki. Wyjmowali każdą książkę i wytrzepywali je grzbietem do góry. Męczyli się przy tym sporo, a jeden z nich, wstając z klęczek, uderzył głową o otwarte górne drzwi szafy i nabił sobie guza. Nic tam nie znaleźli. Przeszli więc do drugiego pokoju, gdzie miałem bibliotekę profesjonalną. Pamiętam, że zdenerwowali się, gdy wyciągnęli rozsuwaną lunetę Buscha, zresztą ziemską. – „Na co panu luneta? Jaki ma pan zawód?”. Gdy powiedziałem im, że jestem astronomem, odłożyli lunetę. Rozśmieszyła ich jakaś stara bibuła na temat życiorysu Mieczysława Moczara. Wtedy popatrzyli po grzbietach

książek – i odpuszcili. „Panie, pan rzeczywiście jest astronomem”. Odeszli od tej szafy. A ja właśnie w tych astronomicznych książkach miałem aktualną bibułę, włożoną w różne tomy. Gdyby nie pękli, toby ją znaleźli. Pamiętam jeszcze, że ucieszyli się, gdy w łazience znaleźli słoik z białawym proszkiem. Moja żona roześmiała się: „To jest sól jodowo-bromowa do moczenia nóg. Gdybym miała tyle narkotyków, to byłabym bogata”. – „A skąd pani wie, ile kosztują narkotyki?”. Po pięciu godzinach podsunęli mi do podpisania protokołów, że niczego nie uszkodzili. Powiedziałem im wtedy: „Jak to? Przecież jeden z panów rozbił sobie głowę”. Podpisałem. Po tej rewizji dalej zajmowałem się kolportażem, ale nie miałem już żadnych problemów z SB.

Po jakimś czasie dowiedziałem się, że owego dnia był nalot na kilkudziesięciu członków różnych komisji zakładowych w Krakowie i dlatego musieli ściągnąć posiłki, także z Rzeszowa. Nie sądzę, że było to skutkiem jakiegoś donosu, myślę, że chcieli nakryć siatkę kolportażu „Solidarności”.

AMK – *Czy ludzie na Uniwersytecie wiedzieli o istnieniu Tajnej Komisji Zakładowej „Solidarności”?*

JM – Tak, tylko nikt się o nią nie dopytywał, ludzie tyle rozumieli z zasad konspiracji.

AMK – *Nadszedł przełom 1989 roku...*

JM – Z początkiem 1989 odbyło się zebranie restytucyjne „Solidarności” w Collegium Chemicum, wszyscy odbieraliśmy to jako powiew pewnego luzu i możliwość ponownej rejestracji „Solidarności”. W kilka osób – zapamiętałem, że była wśród nas pani dr Barbara Niemiec – pojechaliśmy do sądu w Warszawie. Niedługo potem zarejestrowano „Solidarność”. Znowu byłem w Komisji Rewizyjnej. Wtedy ktoś z miasta zadzwonił do mnie z pytaniem, czy wstąpię do Komitetu Wyborczego Lecha Wałęsy. Odmówiłem. Aspiracji politycznych nie miałem, zależało mi tylko na demokracji.

Tekst autoryzowany 26 lutego 2010